COKOLWIEK SENTYMENTALNA PRZECHADZKA PO KRÓLEWSKIM TRAKCIE patrz str. 3

CZWARTEK Nr 12 88–01–28 Cena 15 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

PRZY AKOMPANIAMENCIE GRZMOTU

O zainteresowaniach technicznych młodzieży

(Inf. wł.) Pod koniec ub. roku, w gronie osób, których nikt z was chyba do młodzieży by nie zaliczył, odbyło się seminarium pt. „Rozwijanie technicznych zainteresowań dzieci i młodzieży". Kilkudziesięciu przybyłych — naukowców, nauczycieli, kierowników rozmaitych placówek wychowawczych, redaktorów wydawnictw technicznych — spotkało się w sali „Naszej Księgarni", która zorganizowała to spotkanie wespół z niedawno powstałym Towarzystwem Kultury Technicznej. Właśnie od tej kultury technicznej zaczęto. Były to prawie same narzekania: że przedkłada się inne formy kultury nad tę właśnie, że rozwój techniki wyprzedza umiejętność posługiwania się nią przez ludzi. Że nauczyciele sami nieraz nie bardzo potrafią posługiwać się urządzeniami (nawet prostymi!), z którymi mają zapoznać uczniów. Że kiepsko wygląda poziom zajęć technicznych w szkołach wiejskich. Że nawet absolwenci politechnik — na początku studiów odznaczający się wszechstronnymi zainteresowaniami technicznymi — później, na skutek specjalizacji zawężają swoje horyzonty. W sumie — narzekano na niski poziom kultury i edukacji technicznej, a w konsekwencji — niską jakość wielu urządzeń i wyrobów.

Jakby dla dodania wagi tym słowom rozległ się grzmot straszliwy. To rozsypał się w kawałki, przez kogoś lekko trącony metalowy stojak z półkami do eksponowania książek, ustawiony przy ścianie sali. Kilka osób rzuciło się do składania tego symbolu niskiej kultury technicznej.

Później rozgorzała dyskusja. Wydawałoby się, że technicy winni cenić sobie, a w ramach edukacji technicznej przekazywać innym, zwięzłość, konstruktywność wypowiedzi, konkret. Okazuje się, że nie zawsze tak jest. Wielu luminarzy techniki pozwalało sobie na przydługie popisy krasomówstwa, a nawet rozsiewanie po sali oklepanych banałów. Natomiast wzór zwięzłości i konkretności wypowiedzi dał obecny na sali nestor polskich techników, prof. Janusz Tymowski, który w krótkich słowach przekazał jedno z najważniejszych chyba spostrzeżeń: że trzeba przed młodymi ludźmi stawiać problemy i zadania do rozwiązania, a nie dostarczać im gotowe rozwiązania i instrukcje. Tę myśl profesora rozwinęło wielu dyskutantów.

W sumie — postulowano, by więcej było książek technicznych dla najmłodszych — jako że prasa stanowi „medium ulotne", czyli to, co publikuje, szybko się rozprasza. Zaproponowano też, by ogłosić ogólnopolski konkurs na najracjonalniej działającą pracownię techniczną (padły przykłady pracowni, które świetnie działają pomimo skrajnie niekorzystnych warunków, ciasnoty itp.). Ważne jest — podkreślano — nawet zaciekawienie młodych ludzi techniką, od niego zaczynają się nieraz poważniejsze zainteresowania. Wreszcie, podano też kilka pokrzepiających przykładów. Np. w woj. lubelskim grupa nauczycieli zajęła się politechnizacją w szkołach wiejskich i opracowaniem dobrych pomocy naukowych. Miejmy nadzieje, że takich przykładów będzie stale przybywac. **(tok)**

CO TKWI W CHLEBIE?

(PAP). Według ustaleń naukowców, w ciągu minionych 100 lat dzienne spożycie chleba przez człowieka zmniejszyło się z 800 do 160 gramów. Jest to wynikiem znacznego zwiększenia spożycia cukru i mięsa — średnio o 70 proc. Zmiana menu nie pozostała bez następstw: nastąpił poważny wzrost liczby chorób sercowo-naczyniowych i raka. Lekarze radzą by wrócić do dawnych dobrych czasów, gdyż w cukrze i mięsie zawarte są proteiny i tłuszcze zwierzęce przyczyniające się do powstawania nowotworów, chorób serca i układu krążenia. Zdaniem specjalistów chleb jest najlepszym orężem w walce o zdrowie ludzi. Zawiera on 55 proc. krochmalu, poza tym proteiny, żelazo, witaminy i tłuszcze roślinne.

Fot. **archiwum**

MUZEUM W DĘBIE

(APN). Na zachodzie Litwy, w Żemajtii (Żmudź) już od 175 lat istnieje niezwykłe muzeum krajoznawcze, które mieści się... w dębie.

Oto jego historia. Litewski poeta — demokrata i działacz oświatowy XVIII–XIX wieku Dionizas Poszka, podróżując po ojczystym kraju, pewnego razu odnalazł w lesie umierający tysiącletni dąb-olbrzym. Oczarowany jego pięknem, D. Poszka postanowił dać drzewu drugie życie. Dąb ścięto i przewieziono do rodzinnej wsi poety, Bietaj. Odcięto jego najgrubszą część i ustawiono ją na kamiennym fundamencie, przykrywając dachem i wycinając okna i drzwi.

Na półkach umieszczone zostały książki, rękopisy, różnorodny materiał etnograficzny i archeologiczny. D. Poszka nazwał dąb-muzeum „Baublis" („Huczący").

UWAGA MIŁOŚNICY MORZA!

Styczniowe zadanie miesiąca brzmi:

Wyszukaj na mapie Australii nazwy geograficzne związane z Polską.

Wypisz je na kartce pocztowej i wyślij pod adresem: „Latający Holender", Gdańska TV, ul. Sobótki 15, 80-247 Gdańsk.

W MROWISKACH BEZ ZMIAN OD 30 MLN. LAT

WASZYNGTON (PAP). Grupa naukowców amerykańskich, która poświęciła kilka lat na badanie życia mrówek, a zajmowała się również wszelkimi zachowanymi śladami mrowisk na Ziemi, ogłosiła pracę na ten temat.

Twierdzą oni z całym przekonaniem, że życie mrówek, budowa mrowisk i podział pracy nie uległy zmianie w ciągu ostatnich 30 mln. lat.

DĄB ROBIN HOODA POD „PARASOLEM"

LONDYN (PAP). Władze miasta Nottingham postanowiły wydać 19 tysięcy funtów na ochronę znajdującego się w lesie Sherwood starego dębu, którego konary służyły za schronienie Robin Hoodowi. Dąb ma zostać przykryty plastykową kopułą.

„Nie święci garnki lepią"

(Inf. wł.) Zostawili tę pracę ludziom, którzy z garncarskim fachem radzą sobie po mistrzowsku, przynajmniej niektórzy.

Jednym z takich artystów jest pan Czesław Ambroszkiewicz z Urzędowa w województwie lubelskim, którego zuchy z Kraśnika zaprosiły na swoją zbiórkę. Pan Czesław przyniósł ze sobą nie tylko wykonane przez siebie dzbanki, garnki i inne gliniane cuda, lecz także urządzenia i narzędzia, którymi posługuje się w pracy.

Chętni (a znalazło się ich wielu) mogli pod fachowym okiem mistrza spróbować swych sił w lepieniu naczyń i... okazało się, że wymaga to nie lada zręczności i cierpliwości. Nie każdemu udało się wykonać to, co zaplanował, ale za to śmiechu było przy tym co niemiara! **(jam)**

Fot. **Harcerskie Centrum Kultury Kraśnik**

ODNALEZIONO KARTKI XV-WIECZNEGO KALENDARZA POLSKIEGO

(PAP). Niezwykłego odkrycia dokonano w bibliotece Uniwersytetu Harwardzkiego. W jednej z książek odnaleziono 2 pożółkłe kartki z 12-stronicowego kalendarza krakowskiego, wydanego w języku niemieckim w 1493 r. Złożone na czworo kartki wzmacniały okładki książki. Po rozłożeniu kartki te dają 8 stron kalendarza zawierającego uwagi o pogodzie, przepowiednie zaćmień planet i horoskopy astrologiczne. W XV wieku kartki starych kalendarzy wykorzystywano często do oprawy książek.

Zapytaj babcię, zapytaj dziadka

TARAS Z RIAZANIA szuka krewnych w Polsce

Nosi imię wielkiego poety ukraińskiego — Taras i typowo polskie nazwisko — Bednarczyk. Urodził się w NRD, mieszka w Związku Radzieckim, lecz korzenie jego rodziny sięgają naszej stolicy.

Tarasa poznałam na obozie pionierskim „Orlonek" w ZSRR. Przyjechał jako delegat Riazania (miasta, w którym mieszka). Koledzy z jego grupy, jak tylko mogli najszybciej, „zakablowali" polskiej delegacji: — A z nami przyjechał jeden Polak.

Taras stał się prawdziwą rewelacją — wszyscy mówili tylko o nim:

— Typowo polska uroda...

— Świetnie zna naszą historię!

— Wyobraź sobie, że ma w domu mnóstwo polskich książek...

— Zna „Pana Tadeusza" — tato tłumaczył mu z języka polskiego...

— Ale wstyd! Zapytał mnie o powstanie na Żmudzi, a ja zupełnie nic nie potrafiłem na ten temat powiedzieć

— Bezbłędnie wymawia wyraz „Mazowsze"... itd.

Stał się więc Taras oczkiem w głowie całej naszej drużyny. Został obdarowany czym tylko się dało i, chcąc nie chcąc, musiał przejść błyskawiczny kurs języka polskiego. W dowód uznania otrzymał ogromny album o Warszawie...

Jednak po kilku dniach „szał" na Tarasa minął. Przyszedł czas na rzetelną pracę — Taras bowiem SZUKA RODZINY, a właściwie tej jej części, która mieszka w Polsce.

To bardzo długa historia. Taras zna ją w najdrobniejszych szczegółach. Przyznał się, że kiedy ostatnio był u swojej babci w Winnicy (USRR), ojciec poprosił ją, by przekazała wnukowi rodzinne dzieje.

— Mój pradziadek, Franciszek — Taras mówi na niego „Franc" — był warszawskim jubilerem. Jeszcze w czasie zaborów wraz z żoną i sześciorgiem dzieci wyjechał do Moskwy i tam zamieszkał. Po rewolucji lutowej rodzinie kazano powrócić do kraju. Najmłodszy syn Franciszka, Siergiej, był ciężko chory, niezdolny do tak długiej podróży. Lekarze dawali mu zaledwie kilka tygodni życia. Rodzina wróciła więc do Polski bez niego.

Siergiej jednak przeżył. Został sam w nieznanym kraju. Miał 9 lat (urodził się w 1908 roku) i bardzo słabo mówił po rosyjsku. Trafił do domu dziecka. Kilkakrotnie z niego uciekał. Chciał przedostać się do Polski — został złapany. Udało mu się nawiązać kontakt listowny z ojcem. Po kilku latach tułaczki osiadł w Winnicy i ożenił się z tamtejszą dziewczyną — Ksenią. Sytuacja materialna młodego małżeństwa nie była dobra. Czasami pomagał Siergiejowi ojciec, przysyłając pieniądze. Jednakże tuż przed II wojną światową kontakt z ojcem nagle się urywa...

To oczywiście nie koniec historii rodziny Tarasa. W tym miejscu urywa się jednak ostatnia nić łącząca Siergieja z jego ojcem. Ani przed, ani po wojnie nie udało się ponownie nawiązać kontaktu.

Taras opowiada dalej: okupacja, front. Tuż po wojnie dziadek Siergiej ginie w wypadku samochodowym. Trzej synowie Siergieja są teraz panami po „czterdziestce". Każdy ma swój dom i swoją rodzinę. Ich dzieci nie mówią już po polsku — Taras rozumie zaledwie kilka słów. A jednak to on właśnie postanowił raz jeszcze spróbować.

— Jak tylko dowiedziałem się, że w „Orlonku" będą Polacy, postanowiłem, że znajdę kogoś, kogo być może zainteresuje moja opowieść i zechce poszukać w Polsce mojej rodziny.

Taras zastawił sidła, a ja dałam się w nie złapać...

A więc:

Ktokolwiek posiada informacje na temat rodziny Bednarczyków: warszawskiego jubilera Franciszka i jego pięciorga dzieci, proszony jest o kontakt z redakcją „Świata Młodych" (HSI).

Może sam o tym nie wiesz, a masz w Riazaniu wcale nie tak bardzo dalekiego kuzyna? Zapytaj babcię i dziadka, zapytaj rodziców!

Kasia Hańska
korespondentka HSI „ŚM"
Katowice

DRUŻYNA „NS" prosi o pomoc

Jesteśmy 11DH „Nieprzetartego Szlaku" działającą przy SOSzW w Nowych Budach, woj. ostrołęckie. W bieżącym roku harcerskim realizujemy kampanię „Bohater". Na patronów drużyny wybraliśmy sobie Olgę i Andrzeja Małkowskich. W wziązku z tym prosimy czytelników „ŚM" o pomoc w gromadzeniu wiadomości i materiałów o nich. Prosimy o artykuły, fotografie z gazet, książki, które innym już są niepotrzebne. Zbieramy też informacje, gdzie znajdują się ulice, place, skwery nazwane ich imieniem.

Czuwaj!
Rada Drużyny

Prosimy do nas pisać pod adresem: **11 DH „NS" przy SOSzW Nowe Budy, 07–221 Brańszczyk, woj. ostrołęckie.**

Jak za panią matką?

W telewizji, prasie, radiu coraz częściej mówi się o szkodliwości palenia. Lansowane są hasła typu: „*Zamiast papierosa — jabłko*". Ludzie słuchają, oglądają, czytają. Na niektórych to nawet wpływa i rzeczywiście próbują zerwać z nałogiem. Inni pozostają wierni papierosom.

W mojej szkole (LO) za palenie grożą uczniowi przykre konsekwencje (zawieszenie w obowiązkach ucznia). Można by zrozumieć to, gdyby nie fakt, że nauczyciele palą przy swych wychowankach, a woźny ostentacyjnie macha papierosem uczniom przed nosem, albo częstuje każdego napotkanego.

No dobrze, powie ktoś, przecież do LO chodzą ludzie na tyle dojrzali, że wiedzą co robią i za nauczycielami nie muszą zawsze iść jak za przysłowiową panią matką.

Co można jednak pomyśleć, kiedy dyrektor szkoły podstawowej chodzi po korytarzu paląc albo wysyła ucznia po papierosy, które wypala prowadząc lekcje? Wszak jest pedagogiem i wiedzieć powinien, że dzieci i młodzież są bardzo wpływowi i często naśladują nauczycieli. Dziwi nierzadko dorosłych, że 13-letnie dziecko pali nałogowo. A może to przykład rodziców, ulubionego pana od W-F spowodował sięgnięcie po papieros? A czy mama zainteresowała się, dlaczego syn ma przepaloną kurtkę? A może porozmawiałaby mama z synem jak „dorosły z dorosłym" i zamiast grozić laniem za zapalenie papierosa, wytłumaczyła jaką szkodę może przynieść palenie tytoniu?

A harcerze?

Jestem — można by rzec — starą harcerką i bywałam na wielu już obozach. Na wszystkich powtarzało się jedno: jakiś instruktor palił. A gdzie Prawo Harcerskie?

Ktoś kiedyś dowcipnie powiedział, że punkty Prawa są ułożone według ważności, zatem ten ostatni jest najmniej ważny... A potem zdziwienie, że tyyylu ludzi pali...

„Jolka"

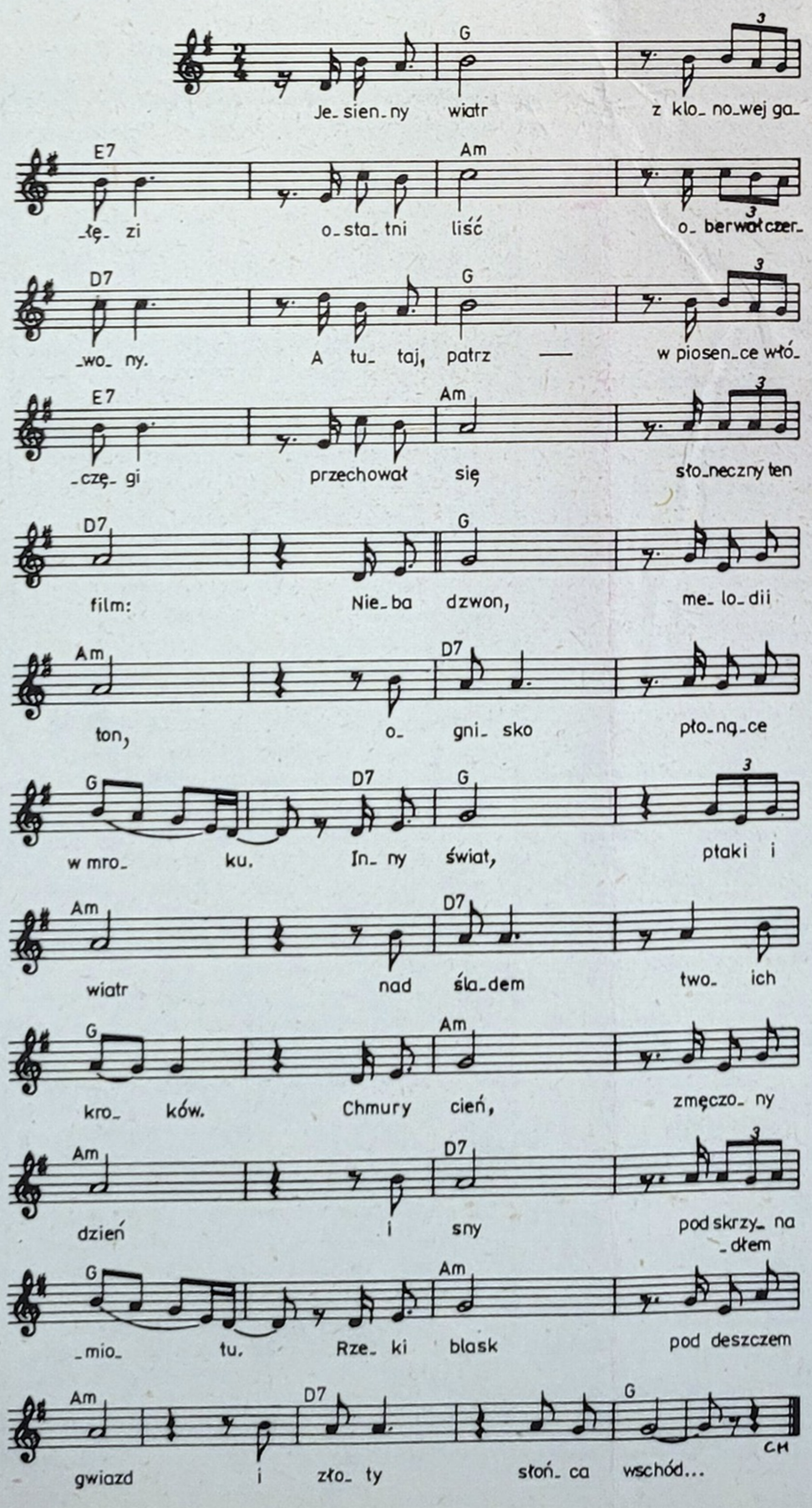

ŚPIEWNIK ŚWIATA „MŁODYCH"

PIOSENKA Z WŁÓCZĘGI

Muzyka: J. Niedźwiecki
Słowa: Zb. Stawecki

Jesienny wiatr
z klonowej gałęzi
ostatni liść
oberwał czerwony.
A tutaj, patrz —
w piosence z włóczęgi
przechował się
słoneczny ten film:
Ref: Nieba dzwon,
melodii ton,
ognisko płonące w mroku.
Inny świat,
ptaki i wiatr
nad śladem twoich kroków.
Chmurny cień,
zmęczony dzień
i sny pod skrzydłem namiotu,
Rzeki blask
pod deszczem gwiazd
i złoty słońca wschód...
Nie trzeba nam
pustyni piaszczystych,
kwitnących lian
i puszcz tropikalnych.
Twój bliski kraj
znad Odry i Wisły —
włóczęgi szlak
otwiera ci sam:
Ref. Nieba dzwon...
Choć tyle dróg
za nami zostało
i tyle gór
patrzyło nam w oczy —
włóczęgom wciąż
włóczęgi za mało.
Na przyszły rok
przywoła ich znów:
Ref. Nieba dzwon...

REDAKCYJNA POCZTA

Dla bohatera z filmu...

Kiedy miałam 13 lat, zaproponował mi chodzenie chłopak, który mi się podobał. Nie zgodziłam się, ofiarowałam mu swą przyjaźń. Czy go kochałam?! Nie! Na pewno nie. On mi tylko imponował. Poza tym czułam się głupio — ja gruba, on szczupły. Chodziliśmy do kina, na spacery z psami. Nie miałam zielonego pojęcia, że jego uczucie potężnieje.

Kiedyś poszliśmy do kina, obejrzałam film, w którym grał młody chłopiec. Zaczęłam zbierać informacje o nim, zdjęcia itp. Nie wiedziałam wówczas, że ten właśnie plakatowy „superboy" podbije moje serce. Z czasem zapomniałam o Tomku (wspomnianym wyżej chłopcu), później o kolegach i koleżankach. Zrobiłam się okropną dziewczyną, gdyż po każdej rozmowie z Tomkiem miałam dość wszystkiego. Nie rozumiały mnie też koleżanki, nawet przyjaciółki, po prostu nikt. Tomek przestał wierzyć dziewczynom, za co winiono mnie. Cóż miałam robić? Odrzucona przez przyjaciół zaczęłam pisać „książki", w których oczywiście prym wiódł „mój superboy". Uczyłam się, pisałam i marzyłam, taki był mój każdy dzień. Zwierzałam się „superboyowi" na papierze ze swych zmartwień jako „supergirl", przeżywałam cudowne chwile na 100 kartach z moim „superboyem" i było mi dobrze. On zawsze „potrafił" znaleźć odpowiedź na moje pytania, „tłumaczył" mi wiele rzeczy. Powstawała pierwsza „książka", później następna i tak jakoś szło.

Przez ten czas zawarłam wiele nowych znajomości, zrzuciłam 10 kg nadwagi, napisałam sześć „książek", ale nadal siedziało we mnie uczucie sympatii do „superboya". Dziś nie mam 13. lat, a prawie piętnaście i jestem wdzięczna chłopakowi z plakatu, że wyrobił we mnie silną wolę i sympatię do siebie.

Teraz jednym z moich marzeń jest, by zapanowała zgoda między mną a Tomkiem.

Wróciła do mnie moja przyjaciółka, która po przeczytaniu mojej pierwszej książki zrozumiała mnie, a nawet ucałowała ze łzami w oczach mówiąc: „Pisarko, to jest cudowne". Kto przeczytał moje książeczki, oddawał je z płaczem ciesząc się lub rozczulając nad losem bohaterów.

„Pisarka"

Im szybciej się zaprzyjaźnicie — tym lepiej!

Piszę w sprawie listu Bryana (nr 155 „ŚM"). Niedawno byłam w podobnej sytuacji i też nie wiedziałam co począć... Nie chciałam sprawy przedłużać i mieć wyrzuty sumienia. Umówiłam się z pierwszym chłopakiem (jak zwykle) i powiedziałam, że nie lubię okłamywać... Od tamtego dnia chodzę z „drugim", a „pierwszy" wcale się na mnie nie gniewa, przeciwnie — przyjaźnimy się.

Jak zacząć z tą nową?... Myślę, że to nie będzie takie trudne. Każda dziewczyna marzy, żeby to chłopak zapoczątkował przyjaźń! Im szybciej zadziałasz, tym lepiej!

Miecia

COKOLWIEK SENTYMENTALNA PRZECHADZKA PO KRÓLEWSKIM TRAKCIE

Wilgotny chłód wczesnego poranka przenikał do kości. Ze stacji Poczty Królewskiej przy Krakowskim Przedmieściu odjeżdżał w stronę wolskich rogatek dyliżans. Jednym z pasażerów, okryty ciepłą peleryną, był 20-letni Fryderyk Chopin. Nie wiedział wtedy, że ojczyznę opuszcza na zawsze. Po śmierci dopiero, oprócz muzyki, która nie zna granic, zgodnie z wolą artysty jego serce wróciło do Warszawy.

W południe 17 października 1945 r., kiedy Warszawa leżała jeszcze w gruzach, urna z jego sercem, przechowywana podczas okupacji w Milanówku, ponownie powróciła na dawne miejsce do kościoła Św. Krzyża. Po tej samej stronie Krakowskiego, gdzie kościół, znajdowało się ostatnie warszawskie mieszkanie Chopina. Dziś jest tu małe muzeum. Kierując się w stronę Placu Zamkowego, gdzie Krakowskie Przedmieście rozdzielone jest jakby zieloną wyspą, na której stoi pomnik Mickiewicza, w ścianie „Dziekanki" napotkać można inną tablicę. Poświęcona jest nauczycielowi Chopina z konserwatorium — Józefowi Elsnerowi.

Od Zamku Królewskiego po Belweder poprzez Krakowskie Przedmieście z jego 4 kościołami, Uniwersytetem, Akademią Sztuk Pięknych, wspaniałymi pałacami, okazałymi dwoma hotelami, przez Nowy Świat i Aleje Ujazdowskie chodzi się po śladach wielkich Polaków. **To historyczny Trakt Królewski.** Tędy do swych prywatnych rezydencji w Ujazdowie i Wilanowie jeździli Królowie.

Zimą 1945 roku, gdy Warszawa została wyzwolona, znajdowało się tu wielkie gruzowisko. Odtwarzając z ruin najpiękniejszą część stolicy, uczyniono to z miłością i pietyzmem. Jeszcze jeden przydając dowód, że Warszawa jest miastem niepokonanym.

Najstarszy pomnik o świeckim charakterze w Warszawie — wyniosła Kolumna Zygmunta wzniesiona w 1643 r. przez 300 lat górowała nad miastem. Z kolumną, a właściwie szablą Zygmunta III trzymaną przez niego w dłoni wiązał się przesąd. Opuszczenie szabli przez króla wróżyło nieszczęście, wzniesienie jej ku górze zwiastowało odmianę losu, zwycięstwo. W ponurych latach okupacji hitlerowskiej legenda sprzed wieku ożyła. We wrześniu 1944 roku, podczas powstania, Kolumna Zygmunta została strzaskana, powalony na bruk leżał król...

Już w 1949 roku na 22 Lipca kolumna została odbudowana i ustawiona na dawnym miejscu. Uchwała Sejmu o odbudowie Królewskiego Zamku, zniszczonego do fundamentów przez Niemców, zapadła również w 1949 roku. Z różnych powodów została zrealizowana wiele lat później. Decyzję odbudowy Zamku podjęto w styczniu 1971 r. I zamek stoi! Aby uzyskać amfiteatralny układ, obniżono o ponad 2 metry poziom placu, do jego fasady. Odsłonięto wówczas piętnastowieczny most z gotyckiej cegły, usytuowany ponad fosą, między pierwszą a drugą linią murów obronnych.

Odbudowany Zamek Królewski jest nie tylko zespołem reprezentacyjnych wnętrz, jakie otrzymał za panowania następców Zygmunta III. Jest miejscem wielkich historycznych wydarzeń. W Zamku za Stanisława Augusta ogłoszono Konstytucję 3 Maja, nadzieję Polaków. Tu dopełnił się i tragiczny akt podpisania rozbioru Polski. W sali senatorskiej w 1829 r. ukoronował się car Mikołaj I na króla polskiego... Tutaj go także zdetronizowano. Nie na długo, gdyż car, zwany „żandarmem Europy", stłumił Powstanie Listopadowe. Zamek był wreszcie, żeby wspomnieć wydarzenia za czasów niepodległości, świadkiem pogrzebu jego niekoronowanego mieszkańca — Stefana Żeromskiego, którego nazywano sumieniem narodu. Niedawno zaś w odbudowanym zamku powołano Fundację Kultury Polskiej...

Trakt Królewski to również pomniki, których tu dawniej nie było. Konny pomnik Księcia Józefa Poniatowskiego, dłuta duńskiego rzeźbiarza Thordvaldsena, stał najpierw, i to przez kilkadziesiąt lat, w Homlu, bowiem władze carskie nie pozwoliły by znalazł się w Warszawie. Dopiero w 1923 r. Książę pojawił się przed Kolumnadą Pałacu Saskiego. W 1944 roku został zburzony przez hitlerowców. Po wojnie nowy jego odlew sporządzony z przechowywanego w Kopenhadze modelu trafił z Danii do stolicy Polski; był to dar Duńczyków. Najpierw w latach pięćdziesiątych książę oglądał spacerujących obok Pomarańczarni w Łazienkach, w 1965 r. znalazł się na Krakowskim Przedmieściu. Rzeźby lwów zdobiące ogrodzenie pałacu Rady Ministrów, przed którym stoi Książę Józef, pochodzą sprzed gmachu byłego Ministerstwa Spraw Wojskowych.

Niedaleko oczekującego na kapitalny remont hotelu „Bristol" (został zbudowany na początku tego wieku dla Ignacego Jana Paderewskiego) widnieje od kilku lat skromny pomnik Bolesława Prusa. Tuż po wojnie na tym samym skwerku znajdowała się naprędce sklecona buda — restauracja z szyldem: „Ta Karczma Rzym się nazywa". (Bywał tu doskonały rosół z domowym makaronem.) Autor „Lalki" i „Antka" galanteryjny sklep starego Mincla i Stanisława Wokulskiego usytuował właśnie na Krakowskim Przedmieściu. Przypomina o tym sklep z pamiątkami „Lalka", tyle, że nie ma w nim takich wspaniałości, jakie sprzedawał pan Rzecki, subiekt Wokulskiego. Epitafijna tablica autora „Lalki" znajduje się we wspomnianym już kościele Św. Krzyża. Świątynia ta pełniła wielokrotnie rolę mauzoleum narodowej chwały. Oprócz serca Chopina spoczywa tu serce Władysława Reymonta, znajdują się tablice poświęcone pamięci Józefa Ignacego Kraszewskiego, Juliusza Słowackiego, generała Władysława Sikorskiego. Tutaj też, podczas ostatniego pobytu w Ojczyźnie, papież Jan Paweł II spotkał się z twórcami kultury.

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Nowy Świat — najbardziej warszawska z warszawskich ulic

Fot. **archiwum i W. Wróblewski**

Belweder — siedziba przewodniczącego Rady Państwa — nazwany niegdyś od włoskiego bel vedere — czyli piękny widok. W wieku XVII stała w tym miejscu willa Kanclerza Wielkiego Litewskiego Krzysztofa Paca, potem budowla należała do króla Stanisława Augusta. Na miejscu dworu była wytwórnia porcelany i fajansów znacząca swe wyroby znakiem „Belweder". W latach 1819–1822 Belweder został przebudowany na rezydencję księcia Konstantego. Tu rozegrała się Noc Listopadowa w 1830 roku

Fot. **W. Wróblewski**

Kolumna Zygmunta wzniesiona została przez jego syna Władysława IV. Pisał o niej Juliusz Słowacki: „Jest u nas Kolumna w Warszawie, na której usiadają podróżne żurawie, spotkawszy jej liściane czoło śród obłoka; taka zda się odludna i jaka wysoka".
Kolumna Zygmunta jest symbolem Warszawy, choć herbem stolicy jest Syrena

Krakowskie Przedmieście z kościołem Św. Krzyża. Po prawej stronie w głębi Uniwersytet Warszawski

Plac Trzech Krzyży leży na trasie między Nowym Światem i i Alejami Ujazdowskimi. W jego środku znajduje się kościół Św Aleksandra. Niedaleko stąd, po prawej stronie, mieści się Kwatera Główna ZHP

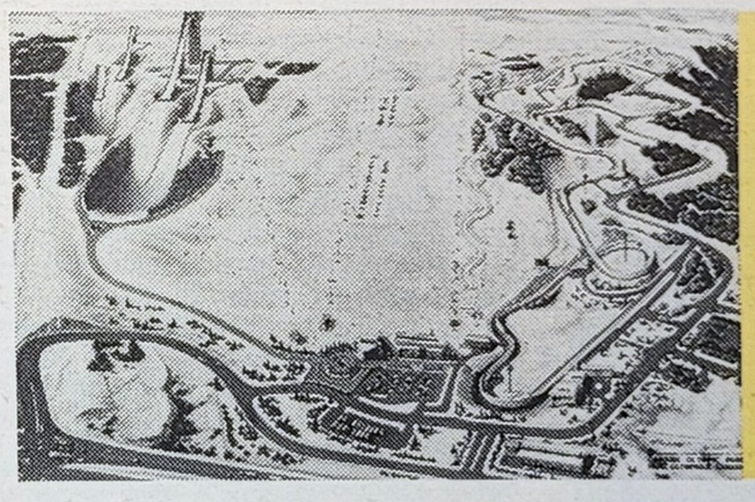

KOLEKCJA ŚWIATA MŁODYCH

Wśród licznych obiektów XV Igrzysk Olimpijskich w Calgary wyróżnia się piękne centrum sportów zimowych — Canada Olympic Park (na zdjęciu). Zostało ono wybudowane w rekordowym tempie w latach 1982–1983. Na lokalizację wybrano dla centrum malownicze tereny na zachód od Calgary (w odległości kilkunastu kilometrów od granicy miasta). Dojeżdża się tu wygodnie i szybko (15 minut), bo park jest usytuowany przy autostradzie transkanadyjskiej, łączącej zachodnią część kraju ze wschodnim wybrzeżem. Główną ideą przyświecającą organizatorom i budowniczym obiektu było przystosowanie go nie tylko do wymogów zawodów olimpijskich, ale także dla tysięcy amatorów zimowych sportów. Każdego dnia z tras narciarskich może korzystać 1,5 tysiąca osób, a bardziej zaawansowani ze skoczni i toru saneczkowo-bobslejowego. Na terenie Parku znajdują się bowiem dwie skocznie narciarskie: 70- i 90-metrowa oraz supernowoczesny, jeden z najlepszych na świecie torów saneczkowo-bobslejowych. Jego długość wynosi 1800 metrów, a powierzchnię zamraża aż... 100 km rur. „Wózki" bobslejowe osiągają tu miejscami prędkość 135 km/godz. Jak niewiarygodna to szybkość można sobie wyobrazić zakładając taką oto nieprawdopodobną sytuację. Gdyby Nowy Jork i Los Angeles — dwa miasta odległe od siebie o prawie 4 tysiące kilometrów, połączone zostały torem bobslejowym, to „wózek" przebyłby tę odległość w zaledwie 24,5 godziny. Powstały kosztem 72,2 miliona dolarów Olimpijski Park gościć będzie przedstawicieli następujących dyscyplin: skoczków narciarskich, zawodników kombinacji norweskiej (którzy również rozegrają tu konkurs skoków), bobsleistów, saneczkarzy i saneczkarki, a także konkurencję pokazową igrzysk — akrobatykę narciarską oraz slalom dla sportowców inwalidów. Emocji więc nie zabraknie. A my mamy nadzieję, że dobrze zaprezentuje się na olimpijskich skoczniach nasz najlepszy skoczek — Piotr Fijas.

CALGARY

Śladami wzorowych SKS

POSKĄPIONO GRATULACJI

Bliźniaczki Maria i Magda Krychniakówny (która jest którą — nie wiemy) są podporą szkolnej drużyny „Błękitnej sztafety"

Pan Zbigniew Steckiewicz, dyrektor sokólskiej „dwójki", w otoczeniu czołowych łyżwiarzy szkoły

Na pierwszy rzut oka sokólska „dwójka" niczym nie wyróżnia się od innych szkół w kraju. Ciasnota jak prawie wszędzie, te same kłopoty ze sprzętem sportowym, maleńka salka gimnastyczna, w której trudno prowadzić lekcje. Przyszkolne boisko również wymiary ma nie lepsze. Nie narażając na szwank szyb z sąsiednich domów można na nim pograć tylko w piłkę ręczną. A jednak tamtejsi uczniowie w konkurencjach łyżwiarskich od lat należą do ścisłej czołówki krajowej. Aż wierzyć się nie chce, że mając tak skromne warunki do treningu potrafią zwyciężać zespoły, które dysponują sztucznymi (a więc niezależnymi od aury) lodowiskami i doskonałym sprzętem. Jeszcze raz okazuje się, że o sukcesach decydują tylko zapał i jakość wykonywanej pracy.

Pan Zbigniew Steckiewicz, dyrektor szkoły, zawsze zadowolony był ze swoich podopiecznych. W „dwójce" szefuje prawie 13 lat i nigdy nie narzekał na brak chętnych do łyżwiarstwa. Może sprawiło to piękne lodowisko (wykonane i pielęgnowane przez nauczycieli podczas każdej zimy), a może uczniom udziela się zapał pedagogów, którzy cierpliwie tłumaczą im zasady trudnej łyżwiarskiej sztuki. Dyrektor, z wykształcenia wuefista, jest pasjonatem „Złotego krążka". Jadwiga Krychniak zajmuje się zespołem dziewcząt z „Błękitnej Sztafety". Ogólną sprawność uczniów „szlifuje" Ireneusz Panasiewicz. Wyniki współpracy tej trójki nauczycieli są widoczne na każdych zawodach.

Aby nie być gołosłownym: reprezentanci sokólskiej szkoły nr 2 wystąpili w ogólnopolskich igrzyskach aż 12 razy (chyba krajowy rekord) i często stawali na podium. A przecież „po drodze" musieli wygrywać ogromną ilość przeróżnych eliminacji. One właśnie, zwłaszcza w regionie białostocko-suwalskim, bywają niezwykle trudne. Stąd bowiem wywodzi się wiele znakomitych drużyn, z których tylko dwie mogą awansować do zawodów centralnych. Dodajmy jeszcze, że np. rezultat dziesiątego zespołu z eliminacji tego regionu w ubiegłym roku był lepszy od wyniku dziesiątej drużyny z ostatnich igrzysk! I tak jest niemal w każdym sezonie — w „Złotym Krążku" i „Błękitnej Sztafecie". Dlatego jeszcze raz prosimy zarząd Główny SZS (organizatora igrzysk) o małą modyfikację regulaminu centralnych zawodów. Białostocczyzna wspólnie z Suwalszczyzną (które tworzą jeden region) powinny być premiowane większym limitem ilości zespołów mogących wystąpić w ogólnopolskich imprezach...

Bywają takie zimy, że nawet w Sokółce długo czeka się na mrozy. Aura płatała figle i w tym roku. Łyżwiarze z „dwójki" lodu nie mieli dotąd prawie wcale. Ale czasu nie marnowali. Sobie tylko znanym sposobem przygotowują się do kolejnych startów. I znowu liczą na sukcesy. Joasia Hawryłko, Genia Kamińska, Maria i Magda Krychniakówny, Zbyszek Ziziuk, Piotrek Kowalski... Nie chcą przerwać dotychczasowego pasma zwycięstw swoich poprzedników. Po cichu liczą nawet na „powtórkę" igrzysk sprzed dwóch lat, kiedy to ich szkolne koleżanki wywalczyły w „BS" złoty medal. Ostatnio, w Krakowie, też było znakomicie. Dziewczęta i chłopcy znaleźli się w finale A, a więc wśród ośmiu najlepszych zespołów kraju. Tylko oni wiedzą, ile kosztował ich ten sukces, ile kropel potu spadło na szkolny lód, zanim dobrnęli do czołówki. Młodzi sokółczanie mają mały żal do lokalnych władz oświatowych, które jakby nie zauważyły ich pracy oraz osiągnięć i nawet poskąpiły zwyczajowych gratulacji. Ta sama przykrość spotkała zresztą uczennice i uczniów sokólskiej „jedynki", które również w Krakowie wypadły wspaniale.

Przed nami kolejne igrzyska młodzieży szkolnej. Do Augustowa zjadą się najlepsi z najlepszych. W tym doborowym gronie nie zabraknie chyba podopiecznych Jadwigi Krychniak i Zbigniewa Steckiewicza. Będzie to ich trzynasty start w tak poważnej imprezie. Mówi się, że „13" jest pechową liczbą. Nie wszyscy jednak w to wierzą.

Tekst i zdjęcia:
Z. PRZYBYŁOWSKI

MASZ PROBLEM? — PRZEPIŁUJ DOM!

RFN (PAP). Sytuacja stawała się coraz groźniejsza. W ścianach trzypiętrowego budynku w Essen zaczęły działać niebezpieczne naprężenia, spowodowane nierównomiernym osiadaniem fundamentów. Początkowo myślano o rozbiórce domu i budowie od podstaw nowego obiektu.

Prawdopodobnie ogrom czekającej roboty przestraszył nieco ekipy remontowo-budowlane, bo zdecydowano się na niecodzienne, a przy tym i ryzykowne rozwiązanie. Zamiast rozbierać cegła po cegle, co nie zdało egzaminu, po prostu rozpiłowano dom wzdłuż linii największych naprężeń, a więc w miejscach, w których mogły wystąpić pęknięcia ścian.

W czasie prac naprawczych wszyscy lokatorzy budynku przebywali w swoich mieszkaniach i choć może wydawać się to nieprawdopodobne, ponoć nie mieli powodów ku temu, aby skarżyć się na uciążliwy charakter prowadzonych robót. Cięcie muru z cegły łańcuchową piłą, zaopatrzoną w diamentową taśmę, musiano wykonywać rzeczywiście z wielką wprawą i z niezrównaną delikatnością. Tym bardziej iż technika ta nie przynosi błyskawicznych rezultatów, skoro w ciągu godziny z reguły udawało się przepiłować zaledwie dziesięciocentymetrowy odcinek ściany.

SQUAW VALLEY - 1960

Na VIII igrzyska, które odbyły się w amerykańskiej miejscowości Squaw Valley nie wysłaliśmy licznej ekipy. Droga była przecież daleka i kosztowna. Do USA pojechało więc tylko 13 osób, reprezentujących narciarstwo i łyżwiarstwo. Dość skromne liczbowo zespoły wysłały także inne kraje. W sumie w „Dolinie Indianki" startowało 769 zawodników z 30 państw.

W polskiej drużynie zabrakło znakomitego wówczas skoczka narciarskiego — Zdzisława Hryniewieckiego. Ten rewelacyjny zawodnik wygrywał wcześniej niemal z całą europejską czołówką i sądzono, że w USA zdobędzie jeden z medali. Ale w czasie przedolimpijskich treningów uległ on nieszczęśliwemu wypadkowi i z ciężką kontuzją został odwieziony do szpitala. Startujący w tej konkurencji inny nasz reprezentant, Władysław Tajner, nie odegrał większej roli. Dobrze spisała się nasza żeńska sztafeta 3 × 5 km. Biegun, Daniel i Pęksa-Czerniawska zajęły czwarte miejsce, a więc najlepsze z uzyskanych dotąd, na igrzyskach przez nasze panie. Na punktowanej lokacie (szóstej) uplasowała się polska sztafeta panów. W pozostałych konkurencjach narciarskich wypadliśmy słabo.

Doczekaliśmy się jednak i my radosnych chwil. Łyżwiarki Elwira Seroczyńska i Helena Pilejczykowa zdobyły w jeździe szybkiej na lodzie dwa medale, jedno piąte i dwa szóste miejsca. A mogło być jeszcze lepiej. Seroczyńska po wywalczeniu „srebra" na dystansie 1500 m w ostatniej parze biegu na 1000 m jechała znakomicie. Na drugim okrążeniu wyrównała czas najlepszej zawodniczki na tym dystansie, Gusiewej (ZSRR) i zdawało się, że stanie na najwyższym podium. Pani Elwira nie zdobyła medalu, nawet punktowanej lokaty. Na ostatnim wirażu potknęła się o leżącą grudkę lodu i przewróciła się. Upadek był tak nieoczekiwany, że organizatorzy przerwali na chwilę zawody. Dzięki dzielnej postawie łyżwiarek w sumie zebraliśmy na VIII igrzyskach 17 pkt. i XI miejsce w nieoficjalnej punktacji. Jest to najlepsza, jak dotąd, lokata polskiej drużyny. Więcej punktów (19) wywalczyliśmy w Grenoble (1968), ale tam zajęliśmy XIV miejsce i nie zdobyliśmy medali.

W „Dolinie Indianki" wielką klasą błysnęli radzieccy łyżwiarze szybcy. Już cztery lata temu, w Cortina d'Ampezzo, zdobyli kilka złotych „krążków". W USA potwierdzili swoje umiejętności. Griszin, Koszyczkin, Gusiewa i Skoblikowa stanęli na najwyższym podium aż 6 razy. Podobała się zwłaszcza Skoblikowa, która właśnie w Squaw Valley rozpoczęła swój triumfalny marsz po torach całego świata.

W zimowym lesie

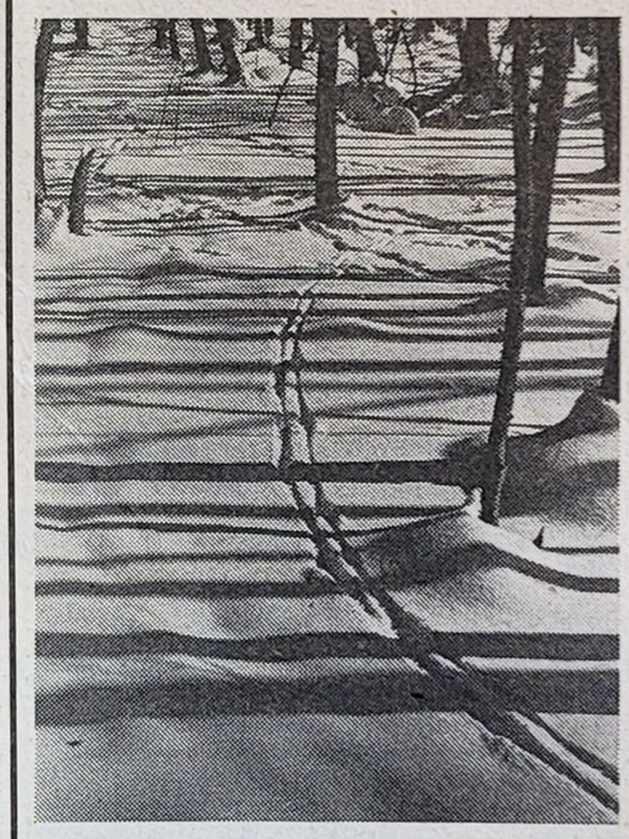

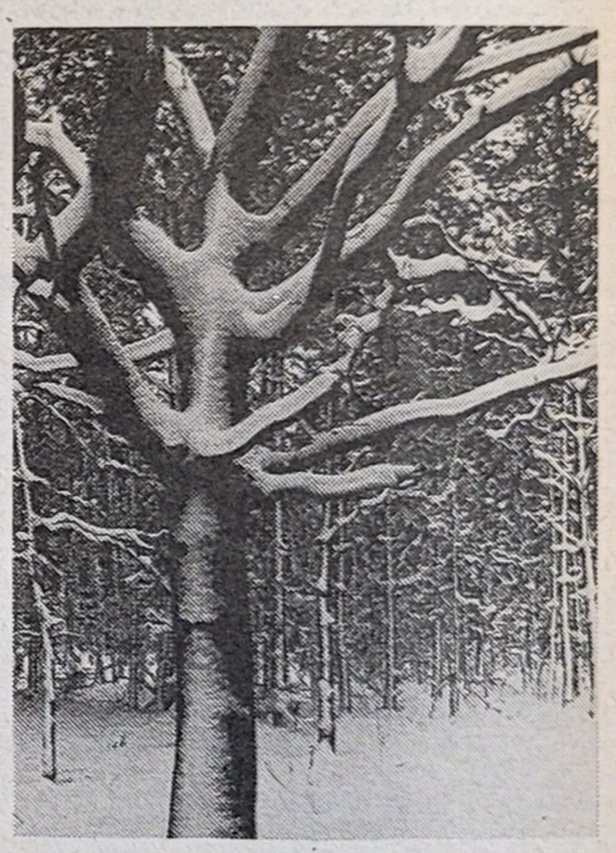

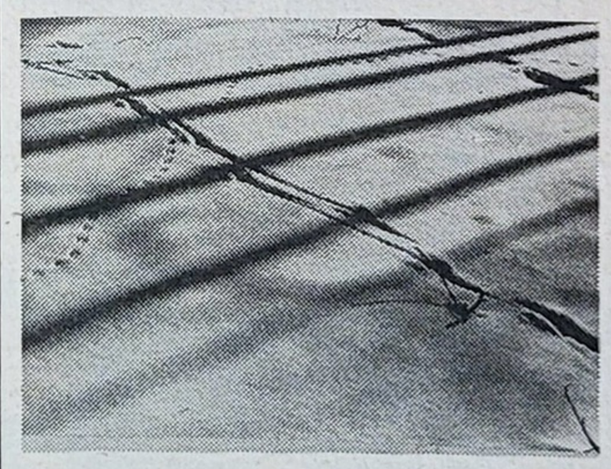

Narty z chrzęstem tną śnieg. Wokół znieruchomiałe maszty sosen, świerki ubrane w białe czapy. Oto brzoza wygięta w pałąk pod ciężarem śniegu — taka już pozostanie, nie wyprostuje się nigdy. Drzewa rozstępują się i otwierają widok na rozświetloną polanę. W takim miejscu trudno się nie zatrzymać.

Panuje ta dziwna, śnieżna cisza, wszechogarniający spokój. A jednak las nie jest uśpiony. Już po chwili powietrze wypełniają dźwięczne głosy sikor. Z daleka donosi się stukanie dzięcioła. Powiew wiatru ożywia drzewa, osypuje śnieżne czapy... nie, to nie wiatr, a skacząca wiewióreczka, jej brązowe futerko lśni w obłoku drgającego śnieżnego pyłu.

Słońce jest już nisko, drzewa, krzewy i każdy śnieżny garb rzucają długie, fantastyczne cienie. Na powierzchni śniegu wyraźnie odcinają się liczne tropy zwierząt: głębokie tropy saren, leżące w linii prostej tropy lisa i drobne, jak sznury pereł tropy leśnych gryzoni. Tyle jest jeszcze ciekawych rzeczy do zaobserwowania w zimowym lesie. Niestety — szybko nadchodzi wieczór i wzmaga się mróz. Pora wracać do domu...

Tekst i zdjęcia
JERZY ROMANOWSKI

200 LAT AUSTRALII (2)

„Nasz dom otacza morze...”

Za górami, za lasami, za morzami leży wielki ląd. Kraina tysiąca dziwów i niespodzianek. Opowieści o niej brzmią tak, jakby ich autorami byli bracia Grimm lub kochany pan Andersen.

A jednak to prawda! Owa kraina istnieje w rzeczywistości. Kraj w dole globusa. AUSTRALIA!

„Nasz dom otacza morze;
Nasz kraj natura obdarzyła
Pięknie, bogato, niepowtarzalnie...”
(Advance Australia Fair — XIX-wieczna pieśń patriotyczna, obecnie hymn australijski)

Czy ktoś słyszał, żeby gdziekolwiek indziej żyły **koala, psy dingo, dziobaki** czy **kangury?** i takie ptaki? Z siedmiuset gatunków — 530 to endemity, występujące wyłącznie w tym rejonie. **Kazuary, lirogony, emu, rajskie ptaki,** wiele odmian **papug** — w gardle zasycha od wymieniania tego wszystkiego, a tu trzeba jeszcze dodać stwory żyjące w wodach przybrzeżnych.

Ludzie prześcigają się w wymyślaniu oryginalnych określeń dla tych wszystkich dziwów i dziwadeł. Ot, choćby **dziobak**. Ssak z kaczym dziobem, zębami, sierścią jak u foki. Do tego wykluwa się z jaj złożonych przez samicę w podwodnych norach i... jest jadowity! Nic więc dziwnego, że zwierzę to uważane jest za największy figiel, jaki natura spłatała człowiekowi.

Albo żyjąca na pustynnych terenach **żaba**... W czasie pory deszczowej chłonie wodę jak gąbka; pije łapczywie, po czym, pękata jak baryłka, zakopuje się w piasku i zapada w letarg, czekając na lepsze czasy. Nie zawsze jednak udaje się jej doczekać. Znaleziona przez krajowców jest wysysana jak soczysty owoc!

A roślinność. **Gaje eukaliptusowe** są rajem dla **koali** — smakosza liści, zaś **akacja australijska** stała się symbolem narodowym i obok kangura i strusia znalazła się w godle kraju.

Wszystko to sprawia, że dla nas, żyjących o 35 godzin lotu samolotem fauna i flora Australii to jakby bajka.

Rzeczywiście — natura wyposażyła ten kraj pięknie, bogato, niepowtarzalnie...

„Nasz dom otacza morze...”

Czy ktokolwiek słyszał, by gdzieś poza Australią żyły kangury, emu czy possumy?

JAK Z BAJKI SĄ TEŻ LUDZIE

Przynajmniej niektórzy.

Gdy kapitan **Phillip** w **1788** roku lądował z pierwszym transportem skazańców — Australia była zamieszkała przez ponad trzysta tysięcy Aborygenów, jej rdzennych mieszkańców i od czterdziestu tysięcy lat jedynych właścicieli.

Przez dwieście lat tubylcy stali się zaledwie maleńką cząstką niewielkiego liczebnie (ok. 15 mln.) społeczeństwa.

Dziś jest ich około 180 tysięcy.

Kiedyś na kontynencie australijskim żyło ponad 500 plemion o odrębnych narzeczach, zwyczajach, kulturze. Ich mowa nie zawierała wielu słów, nie znano też pisma, a jednak do dziś zachował się bogaty, niepowtarzalny dorobek przekazywany z pokolenia na pokolenie.

Dzięki temu możemy na przykład zachwycać się malowidłami w jaskiniach, bronią, ozdobami czy przedmiotami kultu, zgromadzonymi w muzeach. Wiele dawnych przekazów, zasłyszanych od rodziców, dziadków zostało spisanych przez młodych, ciemnoskórych ludzi, którzy na równych prawach z białymi mogą zdobywać wykształcenie.

WZDŁUŻ, WSZERZ I DO GÓRY

Równie niezwykłe jak historie o tubylcach są historie ludzi, którzy zdobywali Australię.

Właśnie — zdobywali, bo czymże innym jak nie zdobywaniem były wyprawy w głąb kontynentu. Między innymi próbowano przebyć go w poprzek. Taką właśnie szaleńczą ekspedycję zorganizował Anglik **Karol Sturt**, któremu jednak udało się dotrzeć jedynie do środka Australii. Co nie udało się Anglikowi — osiągnęli Niemcy. Ich ekspedycja przebyła cały kraj z zachodu na wschód.

Wśród wielkich zdobywców był także Polak. **Paweł Edmund Strzelecki** jako pierwszy wszedł na najwyższy szczyt i nadał mu nazwę Góra Kościuszki. Jako ciekawostkę dodajmy fakt, że Strzelecki „przy okazji” odkrył bogate złoża złota w dolinie Clywd.

Australia ma jednak wciąż swoje tajemnice. Są jeszcze miejsca, do których nie dotarł żaden człowiek. Czy znajdą się śmiałkowie, którzy tego dokonają?

ŚWIĘTO ŻYJĄCYCH RAZEM

Przejdźmy jednak do współczesności, która, przynajmniej w najbliższych miesiącach, zapowiada się również niezwykle.

Australijczycy z pompą obchodzą dwustulecie osiedlenia Europejczyków. Uroczystości trwać będą przez cały rok, a ich program zawiera około trzystu pozycji.

Największe atrakcje „Australia's Bicentenary” to przede wszystkim wystawa dwusetlecia, festiwal kulturalny w Adelaidzie (w ciągu miesiąca odbędzie się kilkadziesiąt przedstawień z udziałem najwybitniejszych artystów całego świata; od wielkich, słynnych orkiestr symfonicznych po nie mniej sławny cyrk radziecki i Micka Jaggera). W Brisbane z kolei odbędzie się World Expo'88 — prezentacja osiągnięć wielu krajów z całego świata. Wystawa światowa ma ogarnąć wszystko — od religijnej kultury Nepalu, poprzez wieloletnie tradycje europejskie, tropikalny raj strefy Pacyfiku, aż po krańcowo różne style cywilizacji amerykańskiej i radzieckiej. „Państwa uczestniczące w Expo będą miały okazję zaprezentować to, co jest u nich najwspanialsze” — czytamy w barwnym folderze wydanym przez organizatorów wystawy.

Będą też propozycje o lżejszym kalibrze, choć przez to nie mniej atrakcyjne. 88 balonów wystartuje z okolic miasta Perth na trasę liczącego ponad sześć tysięcy kilometrów lotu. W Boże Narodzenie 1987 rozpoczęły się gigantyczne regaty, w których wystartowało ponad 150 jachtów z całego świata. Zwyciężyła australijska załoga na jachcie „Sovereign”. Odbędą się też zawody w rzucaniu bumerangiem i mistrzostwa świata w... śmianiu się!

26 stycznia, w dniu święta narodowego Australii nastąpił kulminacyjny punkt obchodów. Odbyła się wielka parada żaglowców, które z całego świata ściągnęły do Sydney. Wśród nich znalazł się polski Dar Młodzieży, darzony tam dużą sympatią.

Australia to prawdziwa Wieża Babel. Jej społeczeństwo tworzą ludzie wielu narodowości: Anglicy, Włosi, Jugosłowianie, Polacy. Wielu jest też Azjatów. No i oczywiście Aborygeni, rdzenna ludność wyspy. To właśnie cząstki narodowych kultur stworzyły nową, odrębną, całkowicie australijską kulturę. „Żyjemy razem” — pod tym hasłem odbywają się jubileuszowe obchody. „Żyjemy razem” — powtarzają często mieszkańcy tej tajemniczej, bajkowej krainy.

W Australii pasą się największe w świecie stada owiec. Wełna i mięso to niezwykle cenne skarby. Trudno się więc dziwić, że ludzie z zainteresowaniem i sympatią obserwują redyk sunący jedną z głównych ulic Melbourne

Cdn.

JAROSŁAW MACHOWIAK

Fot. **archiwum**

Repr. **M. Włodarski**

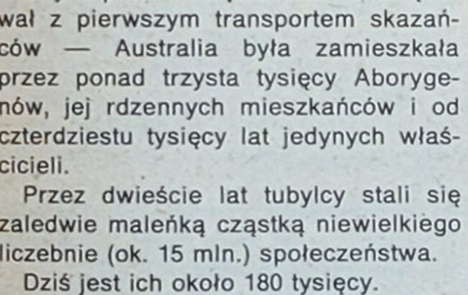

Opowiadanie ANNY KULIK z Dzierżoniowa zostało wyróżnione w ubiegłorocznym konkursie literackim

TRZYNASTU ŚMIAŁKÓW

W miejscowej gazecie, w rubryce ogłoszeń ktoś zamieścił takie oto zawiadomienie: „Poszukuje się trzynastu młodych, odważnych ludzi, którzy stawiliby się w niedzielę bm., o godz. trzynastej trzynaście na rynku”.

Już w sobotę zaczęły nadjeżdżać samochody z pobliskich miejscowości i parkować w pobliżu umówionego miejsca. Ci, co mieszkali dalej, przyjeżdżali z własnymi śpiworami. Wiele par oczu ciekawie rozglądało się wokoło, a z ust do ust przechodziło jedno pytanie: „W jakim celu potrzebni są ci młodzieńcy?”. Nikt nie potrafił jednak dać na nie odpowiedzi. Jedni snuli przypuszczenia, że pod miastem zagnieździł się smok i zżera dziewice. Śmiałkowie mają go zgładzić, bo nieuchronnie zmniejsza się liczba owych niewiast. Drudzy twierdzili, iż kręcą film sensacyjny i poszukują nowych twarzy, bo zestaw starych się już wyczerpał. Jeszcze inni, że będą wybierać kaskaderów. Plotki podawano sobie z ust do ust w zaskakującym tempie.

Już wczesnym, niedzielnym rankiem rynek pełny był młodych, odważnych, śmiałych młodzieńców. Każdy starał się stać jak najbliżej drzwi ratusza. Punktualnie o trzynastej trzynaście drzwi te otwarły się i na progu stanęło dwóch mężczyzn. Jeden z nich, starszy i wyglądający na poważniejszego, przedstawił się jako prezydent miasta D. W kilku słowach gorąco podziękował za tak liczne przybycie. Wskazał na mężczyznę stojącego obok i powiedział:

— Proszę o wybaczenie, ale nie spodziewaliśmy się tak entuzjastycznego przyjęcia naszej propozycji, dlatego pan S. przygotował narzędzia tylko dla trzynastu osób i dostaną je ci, co stoją bliżej.

Tłum drgnął i przysunął się o kilka kroków do przodu, tymczasem prezydent monologował, a pan S. zniknął w budynku.

— Cieszy mnie bardzo postawa obywateli naszego miasta a także okolicy, że tak chętnie zechcieli wziąć udział w naszej akcji...

W tym momencie ukazał się w drzwiach pan S. z łopatami w rękach, a prezydent zakończył

... oczyszczania Starówki!

Anna Kulik (16 lat)

Koń mój przyjaciel

Gościnnie w lipcu ubiegłego roku na łamach naszej gazety ogłosiliśmy warunki konkursu „Koń mój przyjaciel”.

Obecnie z Towarzystwa Miłośników Konia w Polsce otrzymaliśmy list, z którego dowiadujemy się, że konkurs przerósł oczekiwania organizatorów, nadesłano 1929 prac na bardzo wysokim poziomie. Rysunki przysłały dzieci z Polski i z zagranicy. Jury, pod przewodnictwem prof. Ludwika Maciąga, nagrodziło 180 prac. Wykaz ważniejszych nagród drukujemy poniżej:

I nagroda — **Kamila Leszczyńska**, Radzyń Podlaski — pobyt w Stadninie Koni Kozienice
II nagrody — **Rafał Moczkowski** Lublin — pobyt w SK Nowielice
— **Bogusław Strzępka** — plecak
III nagrody równorzędne (torby) — **Edyta Muzyka**, Lublin — **Bogusław Schraeder**, Bolesławiec — **Mirek Ziółkowski**, Lubań Śl. — **Agnieszka Sady**, Lublin oraz **Monika Cylwik**, Białystok — prenumerata „Konia Polskiego”

Nagrody dla dzieci młodszych
I **Janina Wojnarowska**, Łąck — statueta i książka
II **Leszek Biłowicki**, Częstochowa, książka
III **Elżbieta Stasienko** Rzeszów, książka

Nagrody dla dzieci małych
I **Agnieszka Runowicz**, Świebodzice
II **Anna Pankiewicz** Orzynów
III **Zuzanna Blacha** Gliwice
Agnieszka Pasternak Kraków
Artur Berek Łódź

Gratulujemy!

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

SPORTOWA TERAŹNIEJSZOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ

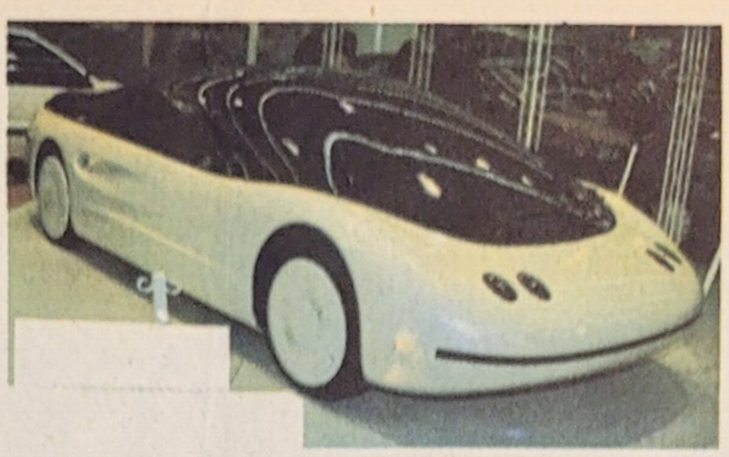

Obydwa samochody pokazane na ilustracjach mają wspólną cechę, a jest nią swoisty rodzaj konstrukcji, na podstawie której zaliczane są do jednej i tej samej grupy samochodów sportowych.

Ten swoisty rodzaj konstrukcji zewnętrznie uwidacznia się zazwyczaj małą wysokością nadwozia, pojedynczymi drzwiami, po każdej stronie nadwozia i takim wyprofilowaniem kształtu, że przód samochodu umieszczony jest bardzo nisko. Dalej podnosi się on w kierunku przedniej szyby, pochylonej pod bardziej ostrym kątem, po to by dach mógł znaleźć się na niewielkiej wysokości. Dach ten ma zazwyczaj niedużą powierzchnię, gdyż nie musi pokrywać dużej przestrzeni wnętrza, albowiem przeznaczona jest ona najczęściej tylko dla 2 osób. Umieszczona za dachem tylna szyba jest stromo pochylona, po to by dostosować się do nieco unoszącego się ku górze tyłu samochodu.

Typowe samochody sportowe posiadają silnik umieszczony centralnie, a więc w przestrzeni położonej nieco za częścią środkową samochodu, odsunięty ku tyłowi, jednakże przed osią kół tylnych. Umieszczenie silnika jest zazwyczaj poprzeczne w stosunku do osi podłużnej samochodu, lecz konstruowane są również pojazdy z silnikami umieszczonymi w tej osi samochodu. Samochody użytkowe, lecz o sportowej sylwetce, budowane w oparciu o elementy samochodów osobowych mają silniki umieszczone tam, gdzie zlokalizowano je w samochodach osobowych.

Samochody sportowe z silnikami umieszczonymi centralnie stanowią jakby wyższą klasę i przeznaczone są najczęściej do sportowego wyczynu — udziału w różnego rodzaju zawodach automobilowych. Chociaż nie jest to ogólnie obowiązującą prawidłowością — gdyż wiele z nich przeznaczonych jest do codziennej eksploatacji dla tych, którzy na drogach lubią poruszać się szybko. Jednakże coraz częściej wykorzystywanie pełnych walorów samochodów sportowych na drogach publicznych ograniczane jest przepisami o ruchu drogowym.

Według przedstawionej tu koncepcji zbudowane są obydwa samochody, a więc PEUGEOT 405 TURBO 16 i DAIHATSU TA-X 80. Jednakże pomiędzy nimi istnieje nieomal milowy odstęp w sferze tzw. problematyki produkcyjnej. Tak jak PEUGEOT jest pojazdem, który może być produkowany seryjnie, to DAIHATSU jest samochodem, który w prezentowanej formie nie będzie mógł wejść od razu do produkcji i stawać np. do zmagań na torach wyścigowych lub trasach rajdów.

PEUGEOT 405 TURBO 16 (fot. 1) skonstruowany został jako następca odnoszącego jeszcze nie tak dawno sukcesy w rajdach samochodu PEUGEOT 205 TURBO 16. Może on być wyposażony w jeden z czterech rodzajów silników produkowanych przez koncern Peugeota, a wśród nich w silnik o pojemności 1,6 l o mocy 53 kW, a także największy pojemnościowo 1,9 l o mocy 116 kW. We wszystkich silnikach na każdy cylinder przypadają po 4 zawory. Zasilanie w paliwo odbywa się za pośrednictwem wtrysku. Napęd od silnika w tym PEUGEOCIE przenoszony jest na wszystkie 4 koła. Kształt nadwozia dla tego samochodu jest dziełem włoskiego stylisty Pininfariny.

Drugi sportowy samochód DAIHATSU TA-X 80 (fot. 2) jest dziełem japońskiej firmy.

Samochód ten wyposażony jest w 6-cylindrowy silnik, posiadający układ cylindrów typu V, o pojemności 1000 cm sześc. i moc 95,5 kW. W silniku tego DAIHATSU, na każdy cylinder przypadają również po 4 zawory. Doładowanie cylindrów sprężonym powietrzem następuje za pomocą dwóch sprężarek turbinowych. Obroty od silnika przekazywane są za pośrednictwem 3-stopniowej automatycznej skrzyni przekładniowej.

W systemie zawieszenia kół zastosowany został elektroniczny układ regulujący twardość zawieszenia, wysokość prześwitu itp.

Nadwozie samochodu to jakby dwie odrębne części. Dolna wykonana z tworzyw kompozytowych i górna całkowicie oszklona sięgająca daleko do przodu jak i tyłu nadwozia, w której nie ma typowego dachu, a tworzy go szklana kopuła.

KĄCIK PRZYJACIÓŁ MOTORYZACJI

Piotr PIEKLIK, Czaple 39, 68–210 NOWE CZAPLE, poszukuje miesięczników Auto-Technika Motoryzacyjna z roku 1986 (za wyjątkiem nr 12), prospektów Mercedesa oraz materiałów o Beskidzie. W zamian oferuje prospekty Jawy, CZ, Velorexa, Opla, Fauna i sprzetu muzycznego firmy Avia.

Dariusz STANISŁAWSKI, ul. Książąt Pomorskich 16/36, 89–604 CHOJNICE, poszukuje prospektów firm samochodowych i motocyklowych, które wymieni za komiksy i plakaty zespołów muzycznych.

Piotr WACH, 23–316 POLICHNA, poszukuje prospektów samochodów: Saab, Volvo i Renault, do wymiany oferuje prospekty Porscha, Mazdy, Mitsubishi i Mercedesa.

Marcin LINK, 34–370 RAJCZA 482 „A", poszukuje prospektów samochodów: Volvo, Mercedesa i Volkswagena Passata, do wymiany posiada prospekty Volkswagena Golfa, Berlieta i adresy firm samochodowych.

Sławomir CHRZANOWSKI, ul. Okrzei 28/4, 10–266 OLSZTYN, odstąpi prospekty samochodów: BMW, Mercedes, Honda, Citroen, za adresy do firm produkujących samochody osobowe.

Mirosław MOCZEK, ul. Daszyńskiego 12, 42–650 BRZEZINY ŚL., poszukuje wszelkich publikacji dotyczących budowy, napraw i eksploatacji Simsona i MZ ETZ-250, w zamian oferuje prospekty Lanci, Audi i Volkswagena.

Norbert KOS, ul. H. Pobożnego 17/5a, 76–200 SŁUPSK, poszukuje nr. 4 „Młodego Technika" z 1985 r., za który odda prospekty Toyoty, Forda i Citroena.

ZENON DUTKIEWICZ

KLUB PTAKOLUBÓW ŚWIATA MŁODYCH

Śladami naszych ptakolubów

WYRÓSŁ NASTĘPCA PUCHALSKIEGO

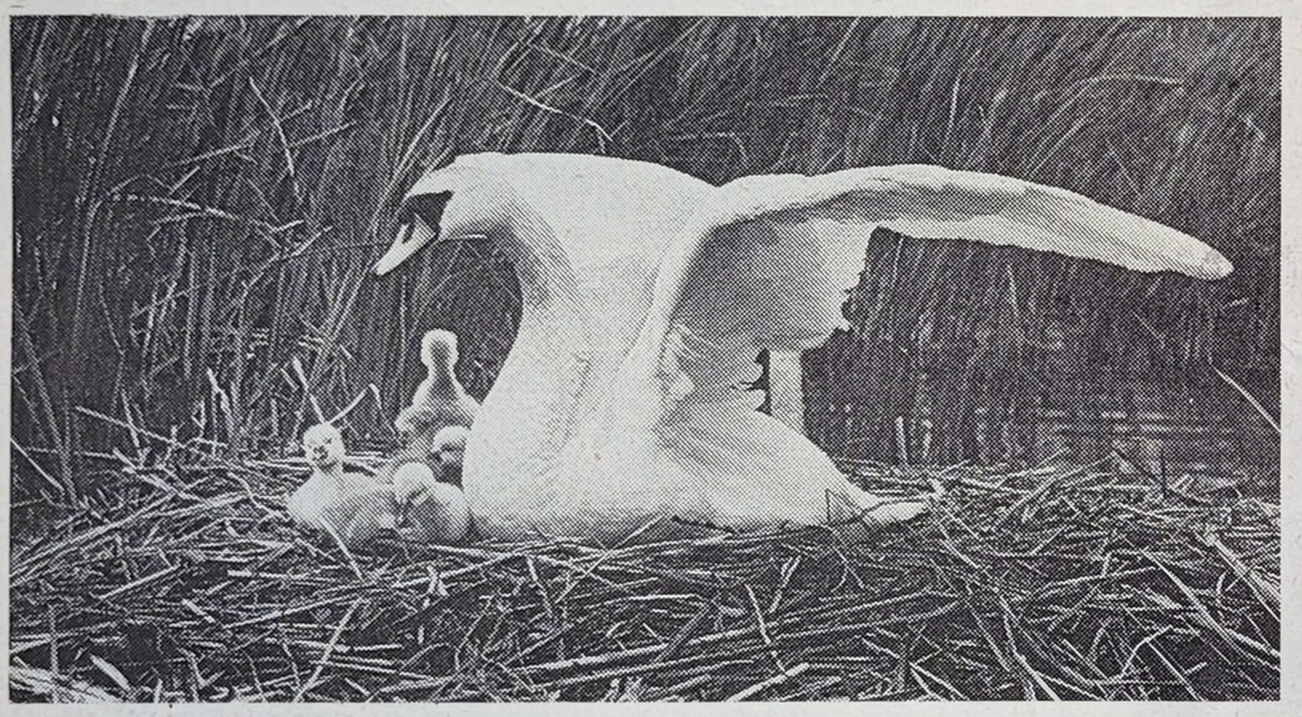

Czy ptaki wodne zbierają się, tak jak to czynią w ostre, a przynajmniej normalne zimy, w ustalonych miejscach — np. koło oparzelisk i wód podgrzanych — czy też widujecie je w różnych miejscach i to osobno. Chodzi tu przede wszystkim o kaczki

Osiem lat temu na pierwszej stronie „Świata Młodych" zaraz obok winiety pisma, ukazała się ozdobiona znaczkiem Klubu Ptakolubów informacja zatytułowana „Rośnie następca Puchalskiego". Pod nią — zdjęcie, które właśnie wykonał ów następca, przedstawiające grubodzioba karmiącego pisklęta. Wewnątrz numeru jeszcze kilka zdjęć tego autora. Tak to wyglądał fotograficzny debiut **SŁAWOMIRA WĄSIKA**, mieszkańca Pionek, który wtedy liczył sobie niewiele ponad 15 lat. Dziś — fotografia przyrodnicza stała się jego zawodem.

Niejednokrotnie pytają nas w listach czytelnicy klubowych artykułów: jak zostać ornitologiem, fotografem ptaków, filmowcem. Jak swoją ornitologiczną zabawę przekształcić w coś poważniejszego? Z reguły odpowiadamy: nie ma jednej uniwersalnej drogi, są różne sposoby dochodzenia do tego celu. By je pokazać — co jakiś czas wyruszać będziemy w klubie śladami naszych ptakolubów — tych, którzy stali się bardziej zaawansowanymi, albo i zawodowymi ornitologami. Dziś — spotkanie ze Sławkiem, a właściwie już Panem Sławomirem Wąsikiem. Spotkaliśmy go podczas otwarcia nowej wystawy fotograficznej **„Białowieskie Konfrontacje Fotografii Przyrodniczej"**, gdzie zdobył nagrodę. Przyznał, że tamta światomłodowa publikacja była rzeczywiście pierwszą — a więc na naszych łamach debiutował. I że ogromną mu sprawiło przyjemność, że przeczytał o sobie: następca Puchalskiego...

— Rzeczywiście Włodzimierz Puchalski zawsze był moim mistrzem! — mówi dziś — czytałem, i mam w domu, większość jego książek. One zaszczepiły we mnie zamiłownie do fotografii przyrodniczej. Ale miłośnikiem przyrody byłem od najmłodszego dzieciństwa. Wychowałem się wśród Puszczy Kozienickiej. W tym otoczeniu bawiłem się w Indian, marzyłem, by zostać traperem, podróżnikiem. Dużo chodziłem po puszczy. Najpierw przeważnie sam, później z grupą kolegów. Zżyłem się z lasem...

— **Wszyscy w dzieciństwie marzymy o traperce, włóczymy się... Ale tylko nieliczni zostają fotografami przyrody. Jak więc się to u Pana zaczęło?**

— Pewnego dnia w 1976 roku kupiłem aparat AMI-66 (wówczas za 200 zł) i jednocześnie książkę Puchalskiego „Puszcza" za 360 zł. No i zacząłem robić pierwsze zdjęcia. A to, wiadomo, oznacza pierwsze rozczarowania. Okazało się, że świat na moim zdjęciu nie wygląda tak pięknie jak wyglądał w okienku aparatu! Zdjęcie jest zwykłe, szare, banalne. Daleko mu do zdjęć mistrza! Zrozumiałem, że trzeba się uczyć... Zacząłem więc czytać i gromadzić książki o fotografii, zapisałem się do kółka fotograficznego w szkole. Wszystko to robiłem z wielką pasją...

— **A Pańskie pierwsze udane zdjęcie? Czy to było to pierwsze w ogóle zrobione, czy dopiero któreś z następnych!**

— Oj, na pewno nie pierwsze! Dziś na cały dorobek pierwszych lat moich fotograficznych łowów wręcz nie mogę patrzeć, żadne zdjęcia mi się nie podobają. Te, które uważam za udane, przyszły całkiem niedawno.

— **... i przedstawiają ptaki. Dlaczego właśnie one są obiektem pańskich zainteresowań? Przecież przyroda to nie tylko ptaki...**

— Cóż, one zawsze najbardziej mnie interesowały i pociągały. Była to zresztą pierwsza grupa zwierząt, którą bliżej poznałem. Więc tak już zostało.

— **Niełatwo podejść do ptaków na odległość, która gwarantowałaby udane zdjęcia. A przecież pokonuje Pan te trudności, o czym świadczy choćby cały, wydrukowany w „Przyrodzie Polskiej" fotoreportaż z życia rodziny bocianów czarnych...**

— Dotąd fotografuję przede wszystkim ptaki przy gniazdach, co gwarantuje należyte zbliżenie się do nich. Trzeba jednak koło gniazda ustawiać ukrycia, a najczęściej korzystać też z pomocy drugiej osoby, która odprowadzi fotografa do ukrycia, a następnie ostentacyjnie odejdzie, dając tym do zrozumienia ptakom, że niebezpieczeństwo niby się już wyniosło... Niestety, nie zawsze mam możliwość korzystania z takiej pomocy innych osób i do ukrycia „odprowadzam się" sam...

— **Fotografowanie ptaków przy gniazdach rzeczywiście jest najbardziej skuteczne. Wymaga jednak zezwolenia naczelnego konserwatora przyrody. Przynajmniej, gdy idzie o gatunki objęte ochroną gatunkową — a z takiej przecież korzysta większość gniazdujących u nas ptaków. Niektóre — jak np. pokazywany przez Pana na zdjęciach bocian czarny czy orlik — korzystają nawet z ochrony szczególnie obostrzonej; do ich ostoi lęgowych w ogóle nie wolno wchodzić...**

— Mam więc stosowne zezwolenia.

— **Tu wielu czytelników, którzy chętnie poszliby w Pana ślady, zapyta: jak zdobyć takie zezwolenie?**

— Nie tak łatwo, zwłaszcza początkującemu amatorowi. Nasze akcje fotograficzne muszą być czymś uzasadnione. Ja np. działam na mocy umowy z konserwatorem przyrody. Właśnie podjąłem sporą pracę, polegającą na fotograficznym dokumentowaniu przyrody Lasów Janowskich. Na wykonywanych zdjęciach będą musiały się znaleźć m.in. rzadkie i chronione gatunki ptaków, zwłaszcza drapieżników. Nie mam praktycznie szans sfotografować ich w innych okolicznościach, jak przy gniazdach. Dlatego otrzymałem zezwolenie. Z podobnych powodów dostawałem zezwolenia dotychczas.

— **Pańska fotografia — to zawód, czy hobby „po pracy"...**

— Dziś już zawód. Nie kończyłem co prawda żadnej szkoły fotograficznej, ale technikum mechaniczne... Nawiasem mówiąc, to na egzamin maturalny przyjechałem prosto z Puszczy, gdzie przez miesiąc siedziałem na „bezkrwawych łowach". No, ale cóż, trzeba było „zrobić" jakąś szkołę i zdać tę maturę. Ale i tak moim zamiarem było zostać zawodowym fotografem ptaków. Dziś więc jestem instruktorem fotografii w Miejskim Ośrodku Kultury w Pionkach. To jest podstawa mego bytu. Przychodzą na moje zajęcia zapaleńcy w różnym wieku — od VII klasy do 30-latków. Bardzo się palą do fotografowania przyrody. Organizujemy wyjazdy w atrakcyjne okolice — Bieszczady, Roztocze, a niebawem moi chłopcy będą ze mną jeździć do Lasów Janowskich... Niezależnie od pracy instruktora — podpisuję umowy na wykonanie dokumentacji fotograficznej różnych obiektów przyrodniczych, gatunków fauny...

— **Pomówmy o Pańskich, zapewne niełatwych kontaktach z ptakami, które przecież robią wszystko, by zniknąć z oczu fotografowi...**

— Nie zawsze! Kiedyś fotografowałem przy gnieździe rodzinę łabędzi. Trwało właśnie wykluwanie. Podszedłem z „Zenitem" do wysiadującej samicy. Ona krzyknęła i wtedy usłyszałem w trzcinach łoskot startującego samca. Wylądował przede mną i jak na mnie nie ruszy! Wyrwałem pęk zielska i rzuciłem w niego. Na nic. Zdołał mnie wywrócić i unurzać w błocie. Do dziś pamiętam uderzenie jego skrzydła — jakby ktoś walnął kijem...

— **Często zdarzają się w tej pracy niebezpieczne chwile?**

— Czasem życie wisi na włosku... Kiedyś z Przemkiem Nawrockim poszliśmy nad Wisłę, by fotografować płaskonosy. Mieliśmy przedostać się pontonami na wyspę, gdzie miałem sam na pewien czas zamieszkać i robić zdjęcia. Z tymi pontonami i plecakami szliśmy z 10 km, wreszcie znaleźliśmy się na brzegu. Napompowaliśmy pontony i Przemek odpłynął. A ja stanąłem na pontonie tak nieszczęśliwie, że wpadłem do Wisły z plecakiem i nowym Olimpusem na szyi! Nurt tam był wartki, pełen wirów. Jakoś dobiłem do brzegu, ale wyprawę trzeba było odłożyć, zaś aparat zaraz zawieźć do Warszawy, do naprawy. Niedawno p. Wyszomirski, prowadzący zakład napraw sprzętu wspomniał w wywiadzie, udzielonym miesięcznikowi „Foto", że dostał do naprawy utopiony aparat. To był właśnie ten mój...

— **Skoro już o aparacie mowa. Jaką rolę odgrywa w tej pracy sprzęt. Co w ogóle jest w niej najważniejsze?**

— Przede wszystkim — stale trzeba się uczyć — zarówno techniki fotograficznej, jak i zoologii. Ja przed fotografowaniem jakiegoś gatunku czytam o nim wszystko, co mogę. Ale sprzęt i użyte materiały też odgrywają wielką rolę — niekiedy decydującą...

— **Pańskie plany na najbliższą przyszłość?**

— Przede wszystkim — żenię się!

— **O, to chyba koniec z tymi włóczęgami przyrodnika, a w konsekwencji — i z fotografowaniem. Życie rodzinne usidla...**

— Dlaczego? Wiem, że moja żona będzie mi pomagała w mojej pracy!

Rozmawiał **TOMASZ KŁOSOWSKI**
Fot. **Sławomir Wąsik**

ZADANIA NA LUTY — przy zdjęciach

Choćby było ciepło i deszczowo, trzeba prowadzić dokarmianie! W dżdżyste i mroczne dni zimowe jest ono ptakom, zwłaszcza drobnym, tak samo potrzebne, jak w czasie śniegów i mrozów

COKOLWIEK SENTYMENTALNA PRZECHADZKA PO KRÓLEWSKIM TRAKCIE

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

Z Krakowskiego Przedmieścia Trakt Królewski wiedzie wąskim przesmykiem skręcającego nieco Nowego Światu. To chyba najbardziej „warszawska" ulica stolicy! Także zniszczona okrutnie podczas powstania; ocalało zaledwie 6 kamieniczek na 71... Odbudowując je pieczołowicie nawiązano do starych dagerotypów. Tego lata zaś wykonano elewacje frontowych ścian domów Nowego Światu; pracowało dość spiesznie 12 przedsiębiorstw. Teraz przystąpią do odświeżania prześwitów domów i bram.

Niegdyś było tu wiele kin i Nowy Świat kipiał życiem. Władze miasta, wspólnie z konserwatorami zabytków, pragną usunąć wszelką brzydotę, a dodać „życia". Neony mają być utrzymane w stylu stosownym do klasycystycznych dwupiętrowych kamieniczek, mają się pojawić nowe słupy ogłoszeniowe, budki telefoniczne, odpowiednie, choć nowoczesne oświetlenie. Czy ulica znów ożyje, stanie się ruchliwa, pełna kawiarenek i uroku — czas pokaże. Pracy będzie wiele, koszta niemałe.

Remont czeka też Aleje Ujazdowskie, którymi przez pl. Trzech Krzyży wiedzie Królewski Trakt. Aleje, to ulica ambasad. Przed laty urządzano tu w cieniu drzew kiermasze książki. Te majowe spotkania w Alejach były piękne, ale bardzo cierpiały trawniki reprezentacyjnej arterii.

Sentymentalny spacer kończę nie dochodząc do Belwederu, którego historia mogłaby zatrzymać na dłużej. Przystańmy jeszcze na jedną chwilkę przed pomnikiem Chopina w Łazienkach. Oczywiście on również odsłonięty był dwukrotnie, jak wszystkie warszawskie pomniki, które poznały hitlerowską okupację. W 1926 dzieło Wacława Szymanowskiego stanęło po raz pierwszy, spotykając się zresztą z bardzo krytycznymi opiniami warszawiaków. W 1940 Niemcy pocięli pomnik na kawałki i wysłali jako złom do Rzeszy. W 1958 roku odsłonięto pomnik po raz drugi...

Zwiedzający Polskę cudzoziemcy, wśród nich także młodzi Niemcy, ze zdumieniem słuchają, że nie wolno było grać muzyki Fryderyka Chopina... Niebezpieczna była to muzyka! Muzyka artysty, który 2 listopada 1830 roku opuścił Warszawę pocztowym dyliżansem.

Wiosną, latem i jesienią przed pomnikiem Chopina w Królewskich Łazienkach przy Trakcie Królewskim ,odbywają się koncerty jego muzyki. Wokół kwitną róże, tysiące róż.

ANNA GRZYBOWIECKA

UŚMIECH NUMERU

PAN MĄDRALA wraca po pracy do domu i widzi, że jego żona czyta książkę kucharską.

— Dlaczego czytasz książkę kucharską? — pyta pan Mądrala. — Przecież sądząc po zapachu ugotowaś już obiad?!

— To prawda. Ale teraz szukam, jak mam nazwać te dania...

Na portrecie występuję w roli jasełkowego aniołka. Autorką jest **Magda** z Chorzowa (nazwisko znam, ale to tajemnica). **Magdę** zapisuję do Rzepklubu.

Redaguje WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

Piszę te słowa **14 stycznia.** Na dworze wiosennie. Data jest niezwykle ważna, bo właśnie dziś miało miejsce zebranie Spółdzielni Pracy Krasnoludków. Na porządku dziennym znalazło się dramatyczne pytanie, wypisane ogromnym[1] literami na tablicy:

FERIE BEZ ŚNIEGU?!!

PRZENIGDY!!! — wrzasnęła Spółdzielnia, po czym rozgorzała burzliwa dyskusja. Co robić, żeby chwycił niewielki mróz i żeby napadało 20 centymetrów śniegu? Ktoś proponował, żeby napisać podanie, załatwić śnieg po znajomości, wynegocjować, wymusić w ramach drugiego etapu reformy, zadzwonić — gdzie trzeba, ogłosić zbiorowy protest przeciwko wiośnie w styczniu, dać łapówkę, zrobić wszystko, zgłosić reklamację, wyczarować...

Spółdzielnia Pracy Krasnoludków postanowiła wreszcie zastosować METAFIZYKĘ. Zaproszono na salę obrad Esmeraldę, wywołano kilka duchów i metodami transcendentalnymi wywarto odpowiednie naciski.

Zapewniam Was, kochani, że w sprawie śniegu na ferie zrobiliśmy wszystko... Wyjrzyjcie przez okno, czy poskutkowało. Jeśli nadal jest wiosennie — musicie zadowolić się iluzją: Nasze Telepatyczne Studio Snów nada w czasie ferii kolorowy serial „Zawrót głowy od nadmiaru śniegu"! Esmeralda zaprasza.

Do zobaczenia!

Wasz **Rzep**

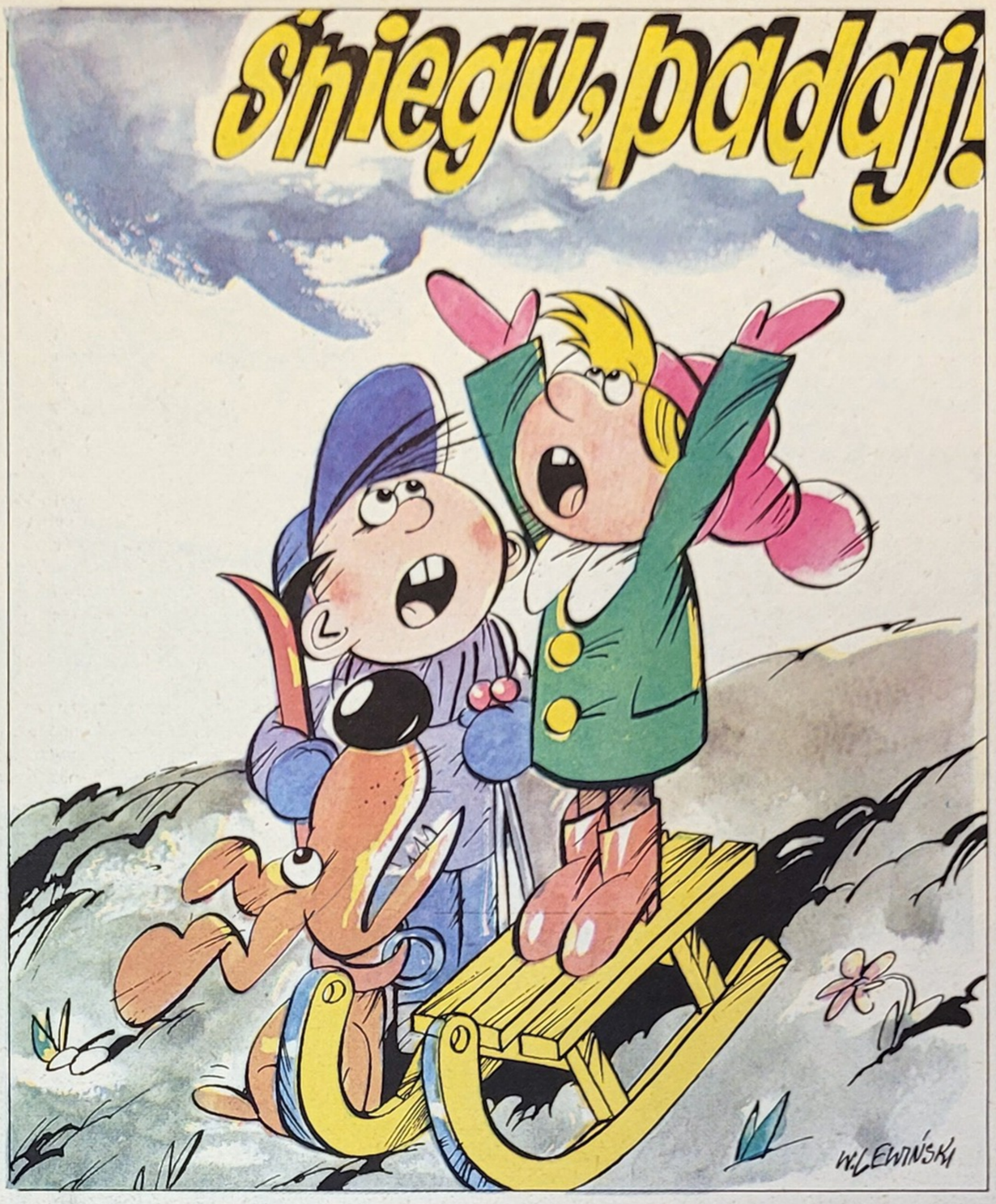

RZEPKLUB Żart wyszperał **Robert Kluba**, którego zapisuję do klubu.

NOWE PAPIEROSY

Małej przeróbki istniejących papierosów „OPAL" dokonała **Ola Foltyńska** (9 lat). Zapisuję ją do Rzepklubu.

Pytanie było zbędne. Nieznajomy, czyli Jack, odemknął furtkę i prawie wybiegł na drogę. Przez dobre dwie minuty na przemian z Karolem poklepywali się po plecach. Przyjrzałem mu się dokładnie. Był w średnim wieku, nosił na sobie wyświechtane szare farmerki (płócienne spodnie stanowiące jedną całość z kamizelką). Strój taki przeważnie obfituje w dużą ilość różnych rozmiarów kieszeni wszytych w nogawki, w kamizelkę i w ogóle gdzie się da. Głowa Jacka przypominała kulę bilardową, tak była idealnie okrągła i tak lśniąca.

Gdy skończyli się poklepywać, Jack odwrócił się ku mnie.

— Witaj, doktorze! — krzyknął. — Jestem Jack Bender. Wiele o panu słyszałem od Karola. Od razu się domyśliłem, że to pan.

To powiedziawszy uścisnął mi dłoń z siłą żelaznych kleszczy.

— Czy wiesz, Jack — zapytał Karol — gdzie może być stary Grant?

— Jak zwykle, u Daltonów.

— No, to chodźmy.

Ruszyliśmy wzdłuż opłotków, spoza których obszczekiwały nas wioskowe kundle.

— To tu — powiedział do mnie Karol uchylając furtkę. Znaleźliśmy się w małym ogródku przed domem mieszkalnym bliźniaczo podobnym do chałupy Jacka Bendera.

Na nasze powitanie wybiegły aż trzy osoby: młoda kobieta, młody mężczyzna oraz starzec o siwych włosach, lecz krzepko się trzymający, co poznałem z jego energicznych ruchów i młodzieńczego głosu.

Po raz drugi stałem się świadkiem radosnego powitania. Mój przyjaciel widać zjednał tu sobie ludzkie serca. W jaki sposób doszedł do takiej zażyłości, spędzając przecież większość czasu w puszczy, nigdy się nie dowiedziałem.

Zaproszono nas do wnętrza domu, gdzie poczułem się dziwnie osamotniony. Dlaczego? Bo rozmowa — jakże chaotyczna, składająca się z mnóstwa niezrozumiałych dla mnie pytań i odpowiedzi — toczyła się wyłącznie między Karolem a gospodarzami. Siedziałem jak mysz pod miotłą, nie ważąc się pisnąć słówka. Na szczęście mój przyjaciel uciął ten dyskurs oświadczając, że jeszcze dziś pragnie dotrzeć do leśniczówki. I mimo protestów postawił na swoim. Przed rozstaniem poczęstowano nas zimnym mlekiem i jeszcze ciepłym, znakomitym chlebem. To mi nieco poprawiło humor. Jeszcze bardziej poweselałem ujrzawszy na drodze bryczkę zaprzężoną w jednego konia. Wraz z Karolem, Stephenem Grantem (owym krzepkim starcem, ojcem leśnika) i Noelem, jego zięciem, ruszyliśmy umiarkowanym kłusem, mijając kolorowe opłotki i stojące za nimi bliźniaczo podobne domki stodoły i obory. Wreszcie ostatnia zagroda została za nami. Przed nami rozciągał się obszar ornych pól oraz łąk, na których pasły się stada bydła i koni. Dalej widok z prawej strony zasłonił gęsty bór sosnowo-świerkowy, z lewej — przestrzeń pozostała nadal otwarta aż po horyzont.

Jechaliśmy tak chyba ze trzy mile po czymś, co było lichą namiastką wiejskiej drogi. Kiedy ściana lasu urwała się, a jej miejsce zajęło owalne w kształcie i połyskujące rdzawo niewielkie jeziorko, ujrzałem leśniczówkę.

Objechaliśmy jeziorko i bryczka zatrzymała się przed domem, który na długie miesiące miał się stać naszą siedzibą. Stał samotnie na skraju wysokopiennego lasu rozświetlony czerwonymi promieniami zachodzącego słońca. Nie dostrzegłem ani stajni, ani corralu (zagrody dla koni). Przed domem czekały na nas dwie osoby.

— To Maks Grant i jego żona Kitty — szepnął mi Karol i pierwszy wyskoczył z bryczki.

Tak więc nareszcie zakończyła się moja długa podróż: koleją, promem, bryczką. Mimo woli westchnąłem. Chyba nikt tego nie zauważył, jako że okrzyki powitalne zagłuszyły wszystko, nawet szczekanie psa, który nagle pojawił się w pobliżu.

Zmusiłem się do uśmiechu i wygramoliłem z bryczki.

DZIEŃ PEŁEN WRAŻEŃ

Moja noga całkowicie wydobrzała.

Dziś wczesnym rankiem, gdy spacerowałem nad jeziorkiem obserwując przeciwległy, lasem porosły brzeg, dostrzegłem nagle, jak drgnęły konary potężnego świerku. Z ciemnej głębi boru wysunęły się potężne rogi, rozszerzone na końcach jak łopaty, a za nimi wynurzył się wąski, rudawy pysk z czarnymi nozdrzami.

Cdn.

21

W POGONI ZA CZARNYM KLEKSEM

TEKST I RYSUNKI Szarlota Paweł

ŚWIAT MŁODYCH
TYGODNIK DLA NAJMŁODSZYCH

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 12 (4407)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-3214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. TELEX 81-36-58.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42; **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-cy sekr. red. Grażyna Szroeder-Bukowska i Lidia Wojciewska tel. 28-25-48; **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Maria Jaworska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13). **Fotoreporterzy** tel. 21-98-28. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49 wewn. 403. Cena ogłoszeń: 350 zł za 1 cm², 150 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych. Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne: Szarlota Paweł
Opracowanie techniczne: Grażyna Pajorkowska
Korekta: Maria Marasek
Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego"
Zam. 132/G/88. U-27
Nakład 439 000 egz.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W NOWEJ FUNDLANDII

WIESŁAW WERNIC 7

Tu — znowu przesiadka i dalsza droga poprzez równiny Nowej Szkocji, aż do portu Sydney, gdzie po raz pierwszy owionął mnie orzeźwiający wiatr od morza.

Promem dobiliśmy do przystani w Port-aux-Basques. Po krótkiej, morskiej podróży czekała nas znowu podróż koleją, na szczęście niezbyt długa.

— No! — wykrzyknął Karol — prawie że dobrnęliśmy do celu!

Było wczesne popołudnie, gdy za oknem wagonu przesunął się daleki, granatowy szczyt — jak się później dowiedziałem, nowofundlandzkie pasmo górskie, Long Range.

— Niedługo wysiadamy, Janie — poinformował mnie Karol.

— Co, znowu przesiadka?! — jęknąłem.

— Raczej... wysiadka. Za godzinkę pociąg zatrzyma się na przystanku Norris. Mniej więcej o pół mili od niego znajduje się wioska o tej samej nazwie, a trzy mile dalej leśniczówka, o której ci opowiadałem. Ale nie będziemy do niej maszerować. Podwiozą nas dobrzy ludzie.

Słowa Karola sprawdziły się. Po godzinie i kilku minutach pociąg zatrzymał się przed czymś, co miało być przystankiem, a było drewnianym drągiem, do którego przybito deskę z namalowanym napisem „Norris". Od tego drąga biegł przez kilka jardów prymitywny peron — nasyp z piachu i żwiru.

Wyskoczyliśmy na ten peron jako jedyni podróżni. Kierownik pociągu machnął ręką w stronę parowozu i pociąg odjechał pozostawiając nas obu na tym pustkowiu.

Słońce jaśniało na skłonie nieba, a jego gorące promienie łagodził lekki wietrzyk. Przede mną, po drugiej stronie toru, rósł wysokopienny las tak gęsty, że wzrok nie sięgnął w jego głąb, mrok wszystko zasłaniał.

— Gdzież u licha ta wioska? — zapytałem.

— Spójrz w drugą stronę — odparł Karol.

Odwróciłem się. Tu krajobraz był całkowicie odmienny. Zamiast ciemnej ściany boru miałem przed sobą daleką zieleń pól. Ujrzałem dachy zabudowań, a nawet szare smugi dymów unoszących się nad kominami. Dalej zaś, na horyzoncie, linię lasu. Nieco na lewo od peronu stacji Norris zaczynała się dość szeroka droga — przetarty kołami i końskimi kopytami szlak zaschłego w koleinach, rudego błota.

— Idziemy, Janie.

I poszliśmy. Poza bronią nieśliśmy jedynie podręczne sakwy, niezbyt ciężkie, więc wędrówka do wsi Norris okazała się przyjemnym spacerkiem. W przeciwieństwie do oglądanych dotąd przeze mnie gospodarstw farmerskich, leżących od siebie w znacznej odległości, wieś była zwarto zabudowana. Chaty stojące szeregami po obu stronach drogi przedzielone były jedynie małymi ogródkami. Orne pola, niektóre już pokryte wiosenną runią, inne błyszczące w słońcu skibami rudawej gleby, ciągnęły się za domami. Myślę, że ten typ zabudowy, wzorowanej na europejskich wsiach, został tu przyniesiony przez osadników francuskiego pochodzenia. Nie brakło ich przecież w Nowej Fundlandii. Później doszukałem się w wiosce kilku nazwisk, które potwierdziły moje przypuszczenie. Nikt jednak nie władał już mową swych pradziadów.

Gdy dotarliśmy do pierwszego opłotka, ozwały się psy z dwu sąsiednich domków, a przed werandę jednego z nich wyszedł wysoki mężczyzna. Przystanął w ogródku, a gdy już mijaliśmy furtkę, przyspieszył kroku.

— Karol! Hej! Karol!

Obejrzałem się sądząc, że w pobliżu znajduje się jakiś imiennik mego przyjaciela. Nie było nikogo. Karol roześmiał się:

— To mnie wołają — a odwróciwszy się odkrzyknął: — Halo, Jack! Jak się masz? Poznałeś mnie?

Dokończenie na str. 7